NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1500 Marek.**

Rok XX. Kraków, 31 marca 1923. Nr. 13.

A kiedy Zygmunt głosi Zmartwychwstanie...



Rezurekcya w Katedrze na Wawelu.

A kiedy Zygmunt głosi Zmartwychwstanie...

(Do illustracyi tytułowej).

Święto Zmartwychwstania Pańskiego, ta Wielka Pamiątka świata chrześciańskiego — była w ponurych mrokach naszej niewoli jasną gwiazdą, która kazała nam wierzyć, że nie każdy umarł, kto złożon do grobu, że po latach naszej chwilowej śmierci państwowej, wejdziemy znowu do grona wolnych narodów. Dziś spełniły się te nasze nadzieje. Polska jest wolną, niepodległą, a Zygmuntowski dzwon, obwieszczając Święto Zmartwychwstania, roznosi po całej ziemi polskiej już nietylko nadzieję i wiarę w lepszą przyszłość, ale i ostateczny tryumf sprawiedliwości międzynarodowej.

I dla narodu polskiego wybiła godzina Zmartwychwstania. Pękły zewnętrzne okowy naszej niewoli. Ale naprawdę będziemy wolni dopiero wtedy, gdy zdołamy przezwyciężyć mrok naszych wewnętrznych waśni i swarów, gdy dzwon Zygmunta, zwiastujący nam z wieży Wawelskiej wielki dzień Zmartwychwstania Pańskiego, zbudzi nasze serca do czynu i ofiarnej zgodnej pracy dla dobra Ojczyzny.

Oby ta chwila jak najrychlej nadeszła. Oby okrzyk „Alleluja“, rozlegający się dziś — po dniach męki Chrystusa — w bogatych pałacach i skromnych izdebkach, zjednoczył cały naród i dał mu moc do przetrwania własnych ułomności, do zwycięstwa Dobra nad Złem...

Tego przedewszystkiem życzymy naszym Czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma. Niech głos Zygmunta w wielki dzień Zmartwychwstania będzie dla nich i dla wszystkich radosnym zwiastunem, że skończyła się Męka Pańska i niewola narodu polskiego, ale niech będzie również hasłem do dalszej pracy nad wewnętrznem naszem odrodzeniem.



Uroczystość uznania naszych granic wschodnich: Prezydent Wojciechowski (x) w rozmowie z posłem francuskim Panafieau (z odsłoniętą głową) w grupie dyplomatów zagranicznych z mosignorem Lauri na czele, na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie. Fot. S. Wolski. Warszawa.



Uroczystość uznania naszych granic wschodnich: Defilada konnych oddziałów przed prezydentem Wojciechowskim na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie. Fot. S. Wolski. Warszawa.

Uroczystość uznania
naszych granic wschodnich

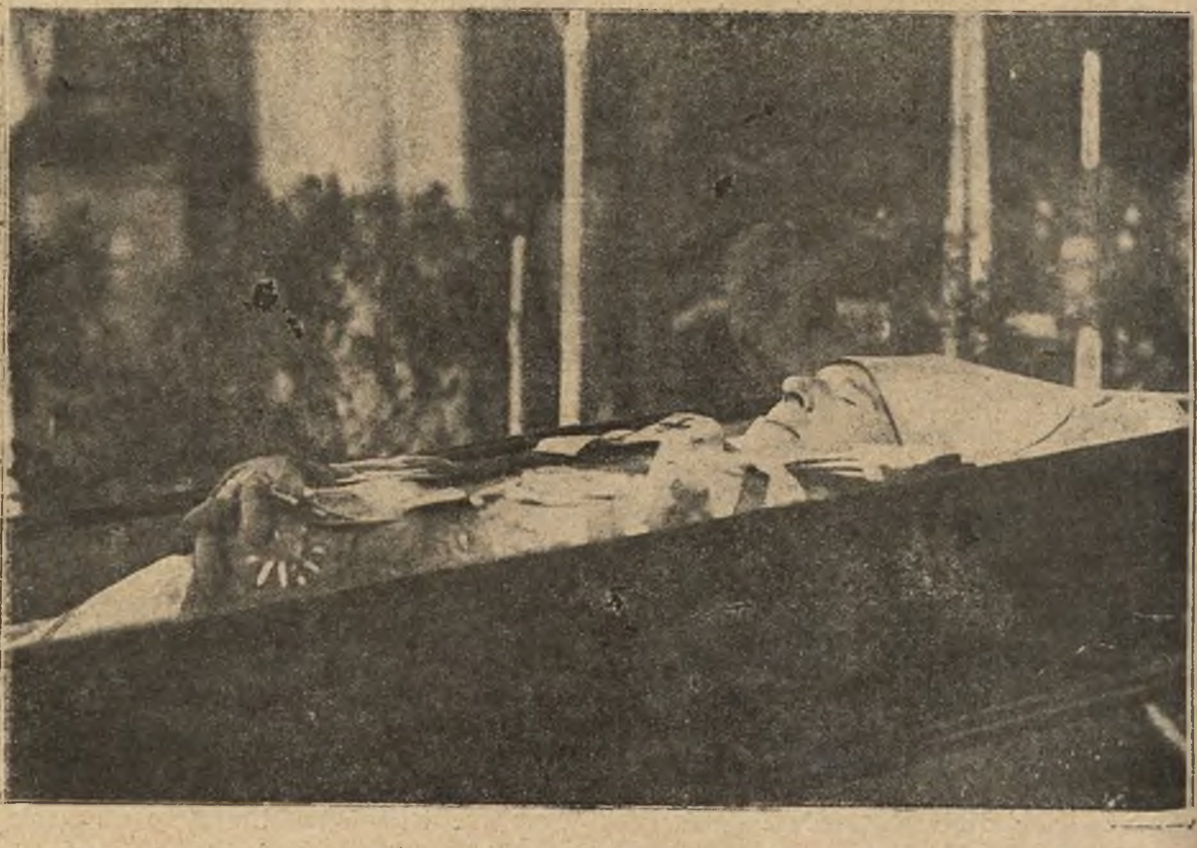
Wielki moment ostatecznego ustalenia granic Rzeczypospolitej uczciła stolica Polski uroczystością, która odbyła się w niedzielę dnia 18 b. m. Obchód rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w katedrze. Mszę pontyfikalną odprawił w otoczeniu licznego duchowieństwa ks. kardynał Kakowski, który następnie zaintonował „Te Deum laudamus“.

Po nabożeństwie udał się prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski w otoczeniu prezydenta ministrów Sikorskiego, przedstawicieli mocarstw zagranicznych, jeneralicyi i innych dygnitarzy przed pomnik Mickiewicza na Krak. Przedmieściu w celu odebrania defilady wojsk. Oddziały wojskowe, złożone z 21-go i 36-go pułku dragonów, szkoły podchorążych, trzech szwadronów jazdy i artyleryi, prowadzone przez inspektora armii jen. Żeligowskiego, przedefilowały przed Prezydentem Państwa. Po skończeniu defilady prezydent Wojciechowski odjechał do Belwederu. Wieczorem odbyło się przedstawienie galowe w Teatrze Wielkim.

Zgon biskupa-patryoty.

Naród polski i Kościół katolicki poniósł dotkliwą stratę. W poniedziałek zmarł we Lwowie ś. p. ks. Arcybiskup Bilczewski, arcypasterz dużej archidyecezyi kresowej, której polskość przez 23 lat z niestrudzoną energią, z zapałem i bezgraniczną ofiarnością umacniał.

Urodzony w r. 1860, studya gimnazyalne ze stopniem celującym ukończył w Wadowicach, teologiczne zaś w Krakowie. Wyświęcony na kapłana w r. 1884 otrzymał posadę wikaryusza w Mogile. Zwrócono jednak rychło uwagę na jego wybitne zdolności. Studyuje dalej we Wiedniu, gdzie się doktoryzował, i w Rzymie, gdzie pod kierunkiem znakomitego Jana de Rossi oddaje się badaniu katakomb i zbiera obfite materyały do późniejszego dzieła p. t.: „Archeologia chrześciańska“. Po powrocie do kraju spełnia obowiązki wikaryusza w Kętach, w Krakowie (przy kościele św. Piotra) i pomocniczego katechety w gimnazyum św. Anny. W r. 1890 habilituje się jako docent teologii dogmatycznej jeneralnej. W r. 1891 przenosi się do Lwowa, powołany na profesora teologii dogmatycznej szczegółowej. Pracuje niezmordowanie w dalszym ciągu. Korzysta z udzielonych urlopów do dalszych badań katakombowych, których owocem było monumentalne dzieło „Eucharystya w świetle najdawnlejszych pomników piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych“. To było powodem, że krak. Akademia Umiejętności zaliczyła go w poczet swoich członków. W r. 1900



Zgon biskupa-patryoty: Ś. p. ks. Arcybiskup Bilczewski na katafalku. Fot. M. Münz. Lwów.



Zgon biskupa-patryoty: Ś. p. ks. Arcybiskup dr. Józef Bilczewski.



Demonstracyjny strajk młodzieży krak. Akademii Sztuk Pięknych: Grupowanie się pochodu demonstracyjnego przed budynkiem Akademii w dniu 22. marca b. r.

otrzymuje nominacyę na arcybiskupa lwowskiego, a 21 stycznia 1901 sakrę biskupią.

W czasie wojny daleki od walk politycznych, jednak złączony z wiernymi swej dyecezyi, stał się celem dla denuncyatorów austryackich, a przedmiotem miłości całej Polski, która z Jego nieustraszonej postaci uczyła się praktycznie przywiązania do idei narodowej.

Praca oświatowa w armii.

Największy pesymista musi nabrać wiary w silny rozwój naszego państwa, gdy pilnie wpatrzy i wsłucha się jak praca wre w budowie fundamentów naszej Ojczyzny t. j. w wojsku. Żołnierz nasz nie jest tresowany, lecz wychowywany i nauczany. Prócz sztuki wojowania, władania różnymi gatunkami broni, dominujące stanowisko zajmuje oświata. Każdy oficer w swej kompanii, plutonie, uczy żołnierza analfabetę czytać i pisać. Jest zasadą w wojsku, że nie śmie z niego wyjść żołnierz, któryby nie nabył wiadomości w zmniejszonym zakresie szkoły powszechnej.

Chcąc tak wychować żołnierza potrzeba było nauczycieli i stałego jednolitego programu działania w nauczaniu. Dlatego każdy oficer przechodzi małe seminaryum nauczycielskie, gdzie zaznajamia się w jaki sposób ma uczyć i wychowywać naszego żołnierza-analfabetę. Na kursie tym, który odbywa się w Krakowie, wykładają zawodowi rutynowani nauczyciele oficerowie jak: kpt. Nowak, por. Tomaszewski, prócz nich, kpt. dr. Lipiński i por. Maśnica.

Fotografia nasza przedstawia uczestników jednego z takich kursów, który ukończył się w tym miesiącu. Wśród nich w pierwszych rzędach widzimy jenerałów i dowódców, którzy brali udział w 4-dniowej konferencyi, mającej za zadanie nadać jednolity kierunek nauczania w każdej formacyi. Prócz nauki czytania i pisania odbywają się wykłady o kraju naszym.

W Krakowie zawiązał się pod przewodnictwem dowódcy Okręgu Korpusu jen. dyw. Czikla: „Korpuśny Komitet opieki nad żołnierzem.“ Komitet ten w którego skład wchodzą wszystkie istytucye oświatowe podjął się wybudować w Krakowie „Dom Żołnierza“ z własną salą teatralną, mający ogniskować, rozwijać i pogłębiać życie kulturalne żołnierza i wyrobić z niego prawego Ojczyznę swą miłującego obywatela.

Tak obmyślana i prowadzona oświata w wojsku naszem wydać musi plon obfity, a dowódcy Okręgu Korpusu jak i komendantowi Obozu Warownego Beckerowi należy pogratulować i życzyć z całego serca „Szczęść Boże“ w tej żmudnej, cichej, a błogiej w skutkach pracy.



Praca oświatowa w armii: Uczestnicy Kursu seminaryalnego dla oficerów krakowskiego Dowództwa Korpusu wraz z jeneralicyą (siedzą od lewej ku prawej jenerałowie: Horoszkiewicz, Ledóchowski, Czikel (x), Tinz, Galica).



Demonstracyjny strajk młodzieży krak. Akademii Sztuk Pięknych: „Bezrobotni" przy pracy na wolnem powietrzu na plantacyach krakowskich.



Ren w rękach Francyi: Francuski ppor. Colpin zamordowany w Buer.

Demonstracyjny strajk młodzieży krak.

Akademii Sztuk Pięknych.

Krukowianie oglądali w dniu 22. marca b. r. oryginalny i jedyny w swoim rodzaju pochód demonstracyjny „bezrobotnych przeciągających poważnie ulicami miasta.

Na czele pochodu, poprzedzonego przez jednego z uczniów, jadącego na rowerze, niesiono tablicę z napisem: „Strajk uczniów Akademii Sztuk Pięknych", następnie zaś w szeregach postępowali uczniowie i uczenice Akademii dzierżąc w dłoniach kasety z farbami, sztalugi, pędzle i tp. W ten sposób rozpoczęto uchwalone przez wiec ogólnoakademicki demonstracyjne bezrobocie na znak protestu przeciw ustawicznemu przewlekaniu krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych charakteru wyższej uczelni, jaki posiadała faktycznie za austryackich czasów.

Sprawa ta wlecze się już od lat trzech, w ostatnich czasach znalazła się przed forum sejmowem, gdzie ją pomyślnie załatwiono, w Senacie natomiast upadła, co wpłynąć musiało rozgoryczająco tak na grono profesorskie i młodzież Akademii, jak też i na wszystkich tych, którym dobro Sztuki polskiej leży na sercu. Nowa zwłoka nie jest następstwem jakiejś niechęci w gronie członków naszego najwyższego ciała ustawodawczego, spowodowały ją względy formalne skutkiem niezrozumiałego wprost zachowania się niektórych czynników Ministerstwa Oświaty.

Po zbadaniu istotnego stanu rzeczy na miejscu w Warszawie przez rektora Akademii prof. Szyszko-Bohusza i prof. Jarockiego, grono profesorów postanowiło jednomyślnie podać się do dymisyi i zawiadomiło o tem miarodajne czynniki, młodzież zaś rozpoczęła demonstracyjny strajk i również ze swej strony wysyła delegacyę do Warszawy, aby wykołatać tem naprawienie krzywdy, jaką wyrządza się tak ważnej i zasłużonej placówce naukowej.

Postawiono zatem sprawę na ostrzu miecza, ale inaczej stać się nie mogło, skoro wszystkie dotychczasowe zabiegi, stosowane w drodze legalnej, najzupełniej zawiodły. Młodzież akademicka w powziętej na wiecu rezolucyi wyraźnie zaznacza, że boleje nad tem, iż musiała uciec się do tego ostatecznego środka ratunku, stając w obronie praw swej Szkoły. Krok ten spotkał się z moralnem poparciem pokrewnych instytucyi akademickich, tak we Lwowie jak i w Krakowie, skąd nadeszły liczne zapewnienia solidarności i wyrazy oburzenia, iż się u nas do tego stopnia lekceważy najważniejsze zagadnienia oświatowe i kulturalne.

„Bezrobocie" młodzieży krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych jest tylko demonstracyjnem, toku prac bynajmniej nie przerywając. Zauważyliśmy to w różnych punktach naszego miasta i poza niem, gdzie spotkać można bardzo często adeptów naszych sztuk plastycznych, korzystających z wspaniałej pogody i malujących na wolnem powietrzu, aby przecież wyzyskać czas przymusowych wakacyi.



Z pobytu Marszałka Piłsudskiego we Lwowie: Marszałek Piłsudski w gronie miejscowych Strzelców i b. Legionistów. Fot. M. Mann, Lwów

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

8) **Powieść z francuskiego**

— Znalazła mistrza swego, — pomyślałem, lecz dodałem potem — tak, ale umiała się go pozbyć!

Dowiedziałem się następnie, iż tego samego dnia, gdy się goście rozjechali, hrabina chciała poniżyć mię w opinii swego męża. Powiedziała mu, iż została ukaraną za swój dobry uczynek; że przyjmując za nauczyciela do dzieci młodego człowieka z tego samego co ona towarzystwa, który doznał rozmaitych przewrotów losu, przerachowała się, że dzieci nic się nie uczą, że za mądry jestem dla nich, i że z powodu dawniejszych towarzyskich stosunków czuję się żenowaną i nie chce mi robić uwag.

Sądziła, że mąż nie będzie w to wglądał, że weźmie te rzeczy lekko i że sam wymówi mi miejsce. Że następnie przedemną zwali wszystko na niego, powie mi, iż robiła co mogła by do tego nie doszło; że bardzo jest nieszczęśliwa.

Hrabia jednak chciał zawyrokować dopiero po poprzedniem, należytem zbadaniu sprawy.

Na drugi dzień po tej rozmowie, przyszedł do pokoju swych dzieci podczas lekcyi, usiadł i nie mówiąc ani słowa, począł słuchać.

Zauważył, że dzieci są ubrane jak należy, czyste, i z pewnem, bardzo miłem skupieniem ducha zabrały się do nauki.

Prosił bym dalej zajmował się lekcyą, tak jak gdyby go nie było i dziwił się, jak znaczne postępy synowie jego zrobili. Na moją prośbę począł im zadawać rozmaite pytania i bardzo był zadowolony z odpowiedzi.

Najwięcej go zdziwiła przyjacielska moja przewaga, jaką na nich wywierałem.

Po ukończeniu lekcyi hrabia serdecznie uściskał swe dzieci, mnie się ukłonił i nic nie mówiąc wyszedł.

W godzinę potem wszedłem do sali jadalnej, trzymając obu moich wychowańców za ręce. Hrabia i hrabina przyszli również na śniadanie.

Po niejakim czasie, hrabia, przerywając rozmowę, podniósł nagle głowę i zwróciwszy się do mnie, począł dziękować za wielką usługę, jaką mu wyświadczyłem podejmując się wychowania jego synów.

Widząc jaki skutek sprawiła jej intryga, hrabina spuściła oczy, udając, że coś z wielkiem zajęciem przebiera na talerzu. Ja się zarumieniłem od wewnętrznego zadowolenia. Odpowiedziałem hrabiemu. Następnie, zachęcony przez niego, rozwinąłem cały system wychowania syntetycznego, który, według mego zdania, jeden tylko był racyonalny i mógł doprowadzić do dobrych rezultatów. Mówiłem o naukach abstrakcyjnych, matematyce, astronomii, fizyce, chemii, biologii. Przedstawiłem jak, studyując je kolejno, jedna drugą wspiera i rozjaśnia. Utrzymywałem, że historya wszystkich ludów, najjaśniej przedstawi się umysłowi, gdy się ją badać będzie w całości rozwoju, chronologicznie: że języków należy się uczyć równolegle z nauką literatury.

Podczas gdym to mówił, ojciec potakiwał głową, a niektóre trafniejsze wyrażenia moje widocznie przypadły mu do gustu.

Bo też rzeczywiście mówiłem z uniesieniem. Jak gdybym odzyskał był nieco z owej energii, jaką miałem w Aix. Mówiłem z przekonaniem i zapałem.

Ale hrabina, która zrazu milczała, gdyż i ją mimowolnie zajął obraz, jaki kreśliłem, w końcu przeraziła się dobrem wrażeniem jakie na mężu jej wywarłem.

Skromnie i trwożliwie zrobiła uwagę, iż tyle rozmaitej mądrości zdaje się jej zbyteczne, że obładowywanie dzieciom głowy tylu przedmiotami w końcu zmęczy je, że wszystkie te nauki nie na wiele im się przydadzą, gdyż urodziły się już bogatymi.

Wówczas ojciec, zwykle tak zimny, spojrzał na nią wzrokiem, którego nigdy nie zapomnę. We wzroku tym odzwierciadlała się i rozpacz całej zmarnowanej egzystencyi, i ostra replika na wszelkie błahe wystąpienia przeciw prawom rozumu.

Potem, wobec swych milczących dzieci i sług, wpatrujących się w niego, począł mówić z ową poważną łagodnością, która tak przystoi wyborowym umysłom, że poziom naukowy ciągle się we Francyi obniża, że Francuz czuje się upokorzonym, przepędziwszy jakiś czas w Niemczech, lub Anglii, gdy porówna nędzne wykształcenie, jakie otrzymują dzieci najpierwszych rodzin naszego kraju z wykształceniem niemieckiem lub angielskiem. Utrzymywał, że ciemnota rozpościera się u nas wszędzie, nawet w literaturze, że może zacytować nazwiska dwudziestu znanych autorów, którzy nie umieli nic więcej niż dobry uczeń piątej klasy, że wcale nie podzielając zdania swej żony, on sądzi, że im kto jest bogatszy, tem więcej powinien się oświecać i nie urodzeniem ale nauką i talentem zjednywać sobie uznanie.

Mówił, iż nie ma nic godniejszego pogardy nad młodych ludzi, którym obce jest wszelkie poważniejsze zajęcie, którzy marnują czas i majątek na facyendowaniu koni i pełnieniu rzemiosła krupierów, że pod względem inteligencyi nierównie wyżej stawia robotnika, zarabiającego na życie tłuczeniem kamieni, niż tych synów wielkich magnatów lub stumilionowych bankierów, których całe życie przechodzi na gonieniu za rozrywkami, często gospolitemi, a zawsze głupiemi; że wolałby, żeby jego synowie poumierali, niżby ich miała czekać taka poniżająca przyszłość.

Hrabina, przerażona temi słowy, unikała mego wzroku i nie wiedziała co ma odpowiedzieć.

Ja powiedziałem tylko połowę prawdy. Wyznałem hrabiemu, tak, że hrabina to słyszała, iż minister chciał mnie wysłać na prowincyę ale, że wolałem pozostać w Paryżu.

Pani Chalis wstała od stołu; dzieci poszły do swego pokoju.

Ja z hrabią pozostałem i spędziliśmy jeszcze godzinę na rozmowie. W końcu hrabia wstał i odchodząc uścisnął mi rękę, czego dotąd jeszcze nie zrobił.

LXII.

I oto hrabia przyjaźni się ze mną! W parę tygodni po swem przybyciu, pewnego poranku przychodzi do mnie, mówiąc, że stanowisko jakie zajmuję nie jest odpowiednie mojej wartości, że przykroby mu było gdybym opuścił jego dzieci, ale że nigdy nie przystanie na to, bym mu poświęcał własne swe interesa, — że ma pewne stosunki i wpływy, i że podejmuje się wyjednać mi powrót do uniwersytetu, jeżeli upoważnię go do tego.

Odpowiedziałem mu, iż prawnie to nie jest możliwem, a w drodze łaski nie przyjmę tego.

Hrabia zdziwił się, na razie przypuszczał, iż jest w tem z mej strony jakaś niewłaściwa zawziętość, potem dodał, iż nigdy na to nie przystanie bym pobierał, jak to sam postanowiłem, liche sto franków miesięcznie. Wtedy przerwałem mu oświadczając, że pensya ta jest dla mnie wystarczającą, i że zmartwi mnie nalegając na podwyższenie jej.

Zdumienie jego wzrosło. Ustąpił niby, ale powiedział, że ponieważ życzę sobie pozostawać przy jego dzieciach, więc potrafi znaleźć sposób wynagrodzenia mnie, w sposób bardziej odpowiedni.

Gdy wyszedł, pomyślałem o tem jak bardzo szczególne zachodzą w życiu sytuacye, że smutno spotykać ludzi ku którym czujemy sympatyę instyktową i zarazem mówić sobie, żeśmy na wieki od nich oddzieleni. Jakże to boleśnie jest nie módz pielęgnować ich przyjaźni i przychylności!

Takiem było moje położenie wobec hrabiego de Chalis.

Temu człowiekowi tak zacnemu, tak nieszczęśliwemu, ku któremu czułem pociąg nieprzezwyciężony, ja wyrządzałem, czego nie podejrzywał, obelgę najokropniejszą, jaką tylko mogą sobie wyrządzić ludzie jednej i tej samej płci!...

Tego było dość, bym nigdy nic od niego nie przyjął.

Tymczasem hrabina z największym niepokojem spostrzegła, iż z dniem każdym coraz bardziej, prawie mimo mej woli, stosunki moje z jej mężem stawały się ściślejszymi. Odraza, jaką wyrażały jej oczy, gdy wypadkiem znaleźliśmy się sami, świadczyła o stanie jej duszy, ale nic mi nie mówiła.

Co do mnie, pomimo namiętności jaką ku niej czułem, która sama siebie teraz potępiała, nie ulega wątpliwości, że wolałbym był umrzeć niż znowu zawiązywać z nią dawny stosunek, podczas gdy jej mąż był pod jednym z nią dachem.

Szczególne skrupuły!

Zachowywaliśmy się względem siebie jak dwaj wrogowie, oczekujący tylko na oddalenie się trzeciej osoby by rozpocząć kroki nieprzyjacielskie.

Tego zwłaszcza nie mogła mi przebaczyć, iż byłem codziennym świadkiem jej upokorzenia wobec męża, upokorzenia tak wyraźnego, powolności tak dziwnej, iż robiła rzeczy, o których wiedziałem, że są dla niej najnieznośniejsze: jak naprzykład to, że co dzień wyjeżdżała z dziećmi na spacer.

Wpływ, jaki hrabia wywierał na nią jak i na wszystkich co go otaczali, zdumiewał mnie. Każdy, jak gdyby to wypływało z natury rzeczy, uznawał swego mistrza w tym człowieku łagodnym i surowym. Każdy, choć hrabia nie wymówił słowa, wiedział co czynić należy by mu się przypodobać.

Dziś, ten pałac, który dawniej z trybu życia podobniejszy był do domu jakiej kurtyzanki wyższego pokroju, niż do siedziby zacnej rodziny, miał minę zupełnie przyzwoitą. Ład w nim panował. Służba była milcząca i uważna. Książę Titiane i przyjaciele jego ukazywali się coraz rzadziej i tylko ua krótkie wizyty. Zachowanie się hrabiego de Chalis wobec księcia zasługiwało ze wszech miar na uwagę. Szaleniec udawał szaleńca dla nadania sobie kontenansu, i śmiejąc się prosił by mu przebaczono jego szaleństwa. Hrabia pozostawał zimnym wobec tych błazeństw. Nigdy nie doprowadziły go one nawet do tego by choć brwi zmarszczył, by się uśmiechnął. Książę nie istniał dla niego.

LXIII.

Już prawie sześć tygodni upływało, jak hrabia bawił w Paryżu, gdy zdawało mi się, iż upatruję nową zmianę w postępowaniu hrabiny. Do tej pory przyjmowała ona jakby z pewnym rodzajem rezygnacyi dumnej dobrowolną separacyę, istniejącą między nią a mężem. Ale w miarę jak dostrzegła postępy, jakie robiłem w umyśle hrabiego, okazało się pewne wahanie w jej zachowaniu się.

To udawała wobec pana de Chalis, iż obchodzi się ze mną niezmiernie poufale i przyjaźnie, jak gdyby powzięła straszliwy zamiar obudzić w nim podejrzenie co do natury naszych stosunków, to znowu przemawiała do mnie z najpogardliwszą wyniosłością, i wtedy męża otaczała niezwykłą uprzejmością w mojej obecności.

Rzekłbyś, iż szukała sposobu poróżnienia nas, wzbudzając w nas zazdrość.

Ale na swoje nieszczęście, co do mnie, miała do czynienia z człowiekiem, który poczynał poznawać ją. Co zaś do męża, to napróżno czas traciła na wysiłki i zabiegi, których on zdawał się nie dostrzegać. Skończyła na tem, iż wszelkie swe nadskakiwania zwróciła ku panu Chalis.

Wtedy to musiał on wytrzymywać regularne oblężenie i trzeba było całej najokropniejszej urazy, jaką czuł do niej, by wyjść zwycięzcą z walki, w której każdy inny na jego miejscu poczytywałby się za szczęśliwego gdyby uległ. Nikt nie może mieć dokładnego wyobrażenia, jeżeli nie był świadkiem tego, tak jak ja, jakie mnóstwo sposobów uwodzenia może użyć kobieta, byle tylko dojść do swego celu. Ileż to hrabina roztaczała sposobów, delikatnych podchlebstw i inteligentnych zabiegów, ażeby powrócić do łaski człowieka, który, że tak powiem, stracił dla niej serce!

Aby mu się podobać, dochodziła aż do tego, iż wszystkie niemal wieczory z nim przepędzała, i to sama, czytając lub zajmując się jakąkolwiek robótką. Suknie, jakie wówczas niezmiennie nosiła, bynajmniej nie były podobne do tych, w jakich ją przedtem widywałem. Zwykle miewała na sobie czarną suknię, zupełnie prostą, a na głowie lekki stroik tegoż koloru na jasnych włosach. Piękniejsza, gdy była ubrana w ten sposób, niż gdy się wystrajała dawniej w sposób najekscentryczniejszy; pełna była przytem słodyczy i wdzięku, a oczy miały wyraz rzewny i głęboki.

Bywały dnie, w których widząc ją tak uroczą, zapytywałem sam siebie, do jakiej też mogłaby doprowadzić mnie zbrodni, gdyby chciała

zadać sobie dla mnie tyle trudu, i gdybym był w stanie wierzyć jej teraz, tak jak przedtem jej wierzyłem?

Jednego zwłaszcza wieczora, sądziłem, że hrabia ulegnie, i że ja zacznę nienawidzieć tego człowieka, który pomimo mej woli, wzbudzał we mnie sympatyę pełną szacunku.

Miała minę tak tęskną, tak cicho wzdychała, gdy hrabia mówił o rychłym swym odjeździe, a jednocześnie była tak piękną, tak pociągającą! Kilka razy dostrzegłem, że hrabia zatrzymywał swój wzrok na niej, z wyrazem takiego rozrzewnienia, iż mnie to o dreszcz przyprawiało. Raz także, spojrzawszy na zegarek, zwrócił się do mnie, jakby mi chciał dać do zrozumienia, iż mogę sobie odejść. Udałem, że tego nie rozumię.

Wtedy hrabina, która zapewne w tej chwili musiała drżeć z niecierpliwości, popełniła błąd ważny. Wstała i pochyliła się niedbale na poręczy krzesła, na którem siedział jej mąż.

W obec tej demostracyi, nazbyt widocznej, hrabia pewnie zaczął podejrzywać, iż żona jego, dla jakiegoś interesu pragnie z nim zgody. Dostrzegłem, jak nagle usta mu zbladły i spuścił oczy.

Nic to nie pomogło, że pani Chalis nachyliła się ku niemu i położyła rękę na ramieniu. Znikł cały urok. Hrabia wstał i rzekł zimno:

— Czuję się dziś bardzo cierpiącym.

A potem zadzwoniwszy, powiedział służącemu, który wszedł:

— Chodź, rozbierz mnie. Muszę się położyć.

Pozostaliśmy sami z panią Chalis. Odeszła od krzesła, nie przemówiszy ani słowa do mnie. Ale nim wyszła z pokoju, odwróciła się i spojrzała na mnie.

O! To spojrzenie! Niepodobna mi było mylić się co do jego znaczenia. W tej chwili nienawidziła mnie!

LXIV.

Tymczasem, wśród tych wypadków, przybliżał się dzień odjazdu hrabiego.

Widocznem było, iż pobyt w Paryżu nie podobał mu się i był dla niego szkodliwym, gdyż zdrowie jego znowu się poczęło nadwerężać.

Lekarz odwiedzał go codziennie, a po jego oddaleniu się hrabia często wlepiał smutno swe oczy w d leci.

Nie śmiałem mówić z nim o stanie jego zdrowia, ale widocznem było, iż był to stan nie pocieszający.

Rzecz godna uwagi: nawet gdy hrabia zmuszony był leżeć w łóżku, nie chciał, by go żona pielęgnowała. Karmerdyner czuwał nad tem wtedy, pilnując, by mu czego nie brakło.

Względem hrabiny trzymał się zawsze form grzecznych, do jakich obowiązani są ludzie przyzwoici, żyć umiejący.

— Cóż to może być między nimi? — zapytywałem sam siebie.

Pewnego dnia hrabia mi to sam wyjaśnił.

W dniu tym doznałem tak okropnych wyrzutów sumienia, jakich nie doznawałem jeszcze nigdy w życiu.

LXV.

Było to rano, w dzień wyjazdu hrabiego.

W domu jego wszystko zdawało się powracać do „życia", powinienbym raczej powiedzieć: „do szału".

Hrabina i jej przyjaciele z gorączkową niecierpliwością czekali na oddalenie się zacnego człowieka, który ich strachu nabawiał, by znowu rozpocząć swe wybryki. Od niejakiego czasu karność zwolniała między służbą, próżniacza młodzież częściej pojawiała się w pałacu. Hrabina zupełnie prawie odzyskała swą pewność siebie. Tysiąc drobnych szczegółów pozwalało domyślać się, iż wszyscy mieli nadzieję wynagrodzenia sobie czasu straconego.

Koło godziny drugiej, gdym przygotowywał dla chłopców lekcye na dzień jutrzejszy, pani Chalis wyjechała, a dzieci poszły bawić się do parku Monceaux, zapukano do moich drzwi.

Był to hrabia. Przychodził pożegnać się ze mną.

Powiedział mi, iż przed wyjazdem żąda od mojej przyjaźni bardzo wielkiej usługi, której nie powinienem mu odmówić; że zmuszony jest poczynić mi pewne zwierzenia natury delikatnej i że spodziewa się, że go wysłucham, choćby tylko przez wzgląd na jego dzieci.

Niezmiernie zdziwiony tym wstępem, odpowiedziałem w zakłopotaniu, iż jestem „na jego rozkazy".

— Kochany panie! wybrałem pana dla zwierzenia się z najdotkliwszej zgryzoty całego mego życia, nie dlatego tylko, że znajduję w panu uczucie wzniosłe i prawe, ale że nie mogę sobie postąpić inaczej. Nieszczęście chciało, bym po czterech latach pożycia musiał rozłączyć się z panią Chalis. Z przyjaciół, jakich wówczas miałem, jedni rozbiegli się po świecie, drudzy pomarli, większa zaś część zapomniała o mnie, lub przestała mnie znać. Dokoła siebie widzę tylko obojętne twarze. W chwili, gdy zamierzam znowu opuścić Francyę, nie pewny, czy ją kiedy jeszcze zobaczę, muszę poczynić niektóre rozporządzenia, w przewidywaniu niektórych wypadków. Potrzebuję człowieka pewnego, któryby dopilnował tych rozporządzeń. Czyż mogę znaleźć odpowiedniejszego niż pan? Usługa, jakiej od pana wymagam, tę usługę i jabym panu wyświadczył, gdybyś się znajdował w mojem położeniu, a ja na jego miejscu. Pozwól pan zatem, że będę liczył na niego.

Hrabia niespokojnie spojrzał na mnie. Potem wstrząsnąwszy głową, jak człowiek nie mający czasu do zastanowienia się nad skrupułami, mówił dalej półgłosem:

— Naprzód muszę powiedzieć panu, jakie były przyczyny rozłączenia się mego z panią Chalis.

Umilkł. Niepokój go opanował i nie dozwolił mówić dalej. Ja nie mniej od niego byłem poruszony.

Po chwili zaczął znowu:

— Smutna to rzecz, wierz mi pan, gdy mąż znajduje się w konieczności mówienia o swej żonie, a zwłaszcza mówienia takich rzeczy, które wcale nie przyczyniają się do podniesienia jej opinii. Małżeństwo, to związek tak silny! tak zaszczytny! Wyjawiać jego tajemnice, to niejako świętokradztwo. Ale muszę to uczynić. Ojcowstwo zniewala mnie do tego. Ponad względami, jakie winni sobie małżonkowie najnieodwołalniej złączeni, stoją obowiązki ojca dla własnych dzieci.

Znowu zatrzymał się. Zdawał się cierpieć okropnie. Ja także byłem bardzo zmieszany. Jakim sposobem uniknąć tych zwierzeń? Jak tu wyznać hrabiemu, iż byłem jedynym w świecie człowiekiem, który nie miał prawa słuchać ich. Ale czyż mogłem mu to powiedzieć? Głowę mi zawracały niepodobne do rozwikłania trudności mego położenia.

— Podczas pierwszych lat naszego małżeństwa — ciągnął dalej hrabia — żadne wydarzenie nie zamąciło naszego obopólnego szczęścia. Pani Chalis lubiła towarzystwa, rozrywki, co ani dziwiło mnie, ani przerażało. Pozwoliłem jej żyć, jak się jej podobało. Nigdy nie lubiłem tyranizować kogokolwiek. Rady, jakich jej udzielałem, by nie poddawała się nadto prądowi modnych szaleństw współczesnych, nie zdawały się jej być przykre. Wtem, jednego dnia, uczułem się cierpiącym. Nie wiedziałem, co mi jest, oddech miałem utrudniony i plułem krwią. Sądziliśmy oboje, że to było przemijające cierpienie. Jednak, dla spokoju sumienia, wezwałem lekarza. Był to ten sam, którego pan często u mnie widywał, doktór Serre, człowiek niezaprzeczenie wielkiej nauki, ale nieoględny brutal. Począł mnie badać, auskultować, potem skrzywił się i, uważ pan, żona moja była przy tem, powiedział mi najspokojniej:

— Panie hrabio! jeżeli jeszcze jeden miesiąc pozostaniesz w Paryżu, to umrzesz.

Poruszyłem się na krześle. Hrabia uśmiechnął się ze szczególną goryczą.

— Wystaw pan sobie — mówił dalej — czułem się w pełni sił, byłem młody. Chociaż cierpiący, lubiłem życie, całemi piersiami wciągałem je. Moja żona, moje dzieci, były przy mnie, żona siedziała koło mnie, dzieci trzymałem na kolanach, a lekarz mówił mi, że umrę. Osłupiałem. Patrzyłem na niego, zdawało mi się, żem źle słyszał, zawołałem więc:

— Jakto? umrę?...

Lekarz, nie zważając na mój rozpaczliwy wykrzyknik, mówił dalej:

— Jeżeli, przeciwnie, hrabia zgodzi się na to, by przepędzić kilka lat na Maderze, w Sycylii lub w Egipcie, tak, pięć, sześć lat najwyżej i prowadzić życie, jak można, najregularniejsze, to jest dziewięćdziesiąt szans na sto, iż nic mu się złego nie stanie.

Odetchnąłem, usłyszawszy te wyrazy. Było to wygnanie, wygnanie długie i nudne, ale zarazem był to prawdopodobny środek wyleczenia mnie. Podczas gdy lekarz redagował mi program, jak mam się zachowywać, zwróciłem oczy na moją żonę, którą zamyślałem pocieszać, gdyż nie przypuszczałem nawet, by przystała na to, żebym sam jechał. Płakała. To mnie rozczuliło.

Wziawszy ją więc za rękę, powiedziałem:

— Odwagi!

Ale ona, pochyliwszy głowę i wyznając tajemne postanowienie, jakie już sobie zrobiła, odpowiedziała mi z wielką słodyczą:

— Cóż teraz poczniemy, gdy będziemy zmuszeni żyć tak długo nie widząc się?

Nie mogłem powstrzymać się od krzyknięcia, gdy hrabia wymówił te ostatnie wyrazy, gdyż w tym naiwnym frazesie poznałem całą moją hrabinę.

Hrabia wstał i począł przechadzać się po pokoju, mówiąc:

— Inny mąż na mojem miejscu odpowiedziałby na to swej żonie:

— Bądź spokojna! Nie rozstaniemy się! Będziesz mi towarzyszyć.

To samo doradzało mi moje uczucie, nakazywało moje prawo. Ale zapytanie hrabiny tak mnie zmartwiło, tak dobitnie przekonało, iż miała dla mnie tylko uczucie zwyczajne, wynikające z towarzyskich stosunków, z przyzwyczajenia... zwątpienie zbudziło się we mnie. Wówczas tak, jak gdybym i ja z mej strony nigdy nie przypuszczał, by mogła mi towarzyszyć w mojem wygnaniu, odpowiedziałem, że od czasu do czasu będę przyjeżdżał do Paryża, latem.

— Otóż, — mówił dalej hrabia po niejakiej chwili — często i bardzo boleśnie zastanawiałem się nad tem postanowieniem, tak szybko powziętem, a które miało tak fatalne skutki. Czy mam wyznać panu? Nigdy nie mogłem pomyśleć o tem, by sobie zarazem nie robić wyrzutów. W tak ważnej okoliczności, nie przesadną czułość kochanka okazać należało, ale raczej wolę głowy rodziny. Powinien byłem powiedzieć sobie, iż nieroztropnem z mojej strony jest pozostawiać samą, i to na całe lata, kobietę młodą, piękną, która i tak już miała wiele usposobienia do płochości. Powinien byłem powiedzieć sobie i przypomnieć mojej żonie, że obowiązkiem jej było jechać ze mną. Powinien byłem w wyrazach oburzenia zawstydzić ją, że ma tak oschłe serce. Cierpiałaby zapewne, będąc zmuszoną znosić życie, jakie ja prowadzić miałem; ale czyż nie byłoby to lepszem, tysiąc razy lepszem dla niej i dla mnie, niż położenie w jakiem się teraz znajdujemy?

Hrabia usiadł; wydawał mi się bardzo znękany...

— Cóż jeszcze powiem panu? — mówił dalej z trudnym do opisania wyrazem znużenia. — Pojechałem sam. Ja, który czułem się urodzonym do życia rodzinnego — nie miałem już ani żony, ani dzieci. Kamerdyner mój miał o mnie staranie. Nie przestawałem wyrzucać sobie postanowienia, jakie powziąłem. Łudziłem się nadzieją, że pani Chalis ze swojej strony, dozna tęsknoty z powodu naszego rozdziału, i, uprzedzając moje życzenia, przybędzie do mnie. Długo czekałem. Nie mogłem sobie wyobrazić, by nie przyjechała! Nie mam potrzeby mówić panu, że nie zrobiła tego. Pierwsze jej listy, co prawda, zdradzały pewien rodzaj smutku; trudno jej było przyzwyczaić się do swego „wdowieństwa", ale po niejakim czasie przywykła do niego, i nawet umiała, jak sama pisała, poznać i znaleźć sposoby zużytkowania czasu. Podczas gdy przesyłała mi pocieszenia takiej natury, ja, ze śmiertelnie rozdartem sercem, robiłem w mej samotności nadludzkie wysiłki, by odzyskać zdrowie. Wprawiałem się w to, by mówić jak najmniej, oddychać jak najrówniej, wychodziłem tylko wtedy gdy słońce świeciło, i kładłem się spać jak tylko zaszło. Ale miałem w sobie coś takiego, co plonnem czyniło wszystkie te wysiłki. — To coś — była to boleść, żem się widział tak opuszczonym i wstyd, żem kochał jeszcze!] Bo wstyd to, wyznawać przed sobą, że przywiązują nas do kobiet nie ich zalety. Moja żona w całej tej sprawie była tak zręczną, iż wszyscy jej stronę trzymali. Podczas gdym dogorywał w jakiejś sycylijskiej mieścinie, w Paryżu namawiano ją, by się rozerwała, by się nie zamykała w domu; doradzano by zapomniała o mnie; a mnie znowu zarzucano, żem opuścił dzieci i żonę dla zadosyćuczynienia swemu zamiłowaniu w podróżach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

2)

— No, czegóż chcesz!... mów śmiało...

— Jabym chciała poprosić o pozwolenie wyjścia...

— Wyjść chcesz teraz?... Dokąd?...

— No, na spacer trochę... Taki piękny wieczór... tak pachnie, że aż się w głowie kręci.

— Na spacer?... tak sama?...

— E! gdzieżby tam znowu sama — to porządnej dziewczynie nie „pasuje"... Jeszczeby mnie lada kto zaczepił... Ja chcę pospacerować z moim chłopcem, niby z narzeczonym, proszę wielmożnej pani profesora...

— Aha!... to ty masz narzeczonego?

— A jakże!... porządnej dziewczynie bez narzeczonego — to nawet nieładnie...

— Jakże on się nazywa?

Hanka, trochę zdziwiona tą rozmownością swej uczonej pani, zwykle bardzo skąpej w słowa — rzekła pospiesznie:

— Feliks! proszę pani profesora...

— Feliks?!

— No tak, Feliks!... Felek Trąbiduda... z zawodu murarz... bardzo honorowy chłopak... on porządną dziewczynę uszanuje.

— No i kochacie się?...

Hanka zachichotała zcicha — filuternie.

— Jakżeby nie, proszę pani profesora... Człowiek młody, to się i kochać musi... Na starość to już kochanie nie w głowie... mój Felek...

— Dobrze... dobrze... — przerwała jej z pewnem zniecierpliwieniem pani — możesz iść... Ja sama już sobie przyrządzę i podam kolacyę...

— Dziękuję wielmożnej pani... Całuję rączki pani profesora... — i Hanka z jakimś radosnym kwikiem wybiegła z pokoju.

A „pani profesor" potrząsnęła głową i powtórzyła:

— Człowiek młody — to się i kochać musi... O! Feliksie!... Feliksie!... Czemużem cię nie znała, gdy miałam lat ośmnaście!...

Usiłowała się przezwyciężyć i podjąwszy z ziemi porzuconą przedtem broszurę, zamierzała czytać ją dalej... Zaledwie jednak przebiegła oczyma kilkanaście wierszy, nic z tego nie rozumiejąc — dała za wygraną...

— Stanowczo nie jestem dzisiaj usposobiona do poważnej lektury.. Prędzejbym już przeczytała jakąś ładną powieść... o miłości...

Ale w całej wszakże bogatej bibliotece dra Wyrobkówny nie było ani jednej powieści. Nie uznawała i nie czytywała nigdy „bajek". Brakło jej na to zresztą czasu...

Machinalnie wzięła do ręki gazetę, leżącą na biurku i prawie bezmyślnie przeglądać ją zaczęła. Wzrok jej obojętnie prześliznął się po artykule politycznym i kronice miejscowej, pominął feljeton teatralny i dział mód i już odłożyć miała gazetę, gdy nagle na przedostatniej stronie zelektryzował ją wielki trzyszpaltowy inserat:

„KTO CHCE SIĘ ODMŁODZIĆ?

Niechaj zgłosi się do Zakładu dra Riki-Tiku!... Odmładzanie specjalnym aparatem własnego wyrobu, zwanym „eliksirem Fausta". Metody dra Steinacha i dra Woronowa udoskonalone i uzupełnione tajemną wiedzą Wschodu. Młodość powraca w całym swym blasku i piękności. Dowolne oznaczenie granicy wieku. Operacya bezbolesna. Skutek niewątpliwy.

PANIE! CZY ZECHCESZ PAN ODZYSKAĆ ENERGIĘ I TEMPERAMENT LAT DWUDZIESTU CZTERECH?!.. PANI!.. CZY CHCESZ MIEĆ RAZ JESZCZE LAT OŚMNAŚCIE?..."

Mieć raz jeszcze lat ośmnaście!... Pełnoletniemu doktorowi nauk fizycznych i matematycznych zakręciło się w głowie!... Lat ośmnaście — to możność sięgnięcia po miłość Feliksa!... Lat ośmnaście — to nowe, lepsze życie!... Przysłowie powiada: „O! gdyby młodość wiedziała — o! gdyby starość mogła" ale połączenie siły z doświadczeniem późniejszego wieku — to cud nad cudy!... Zaraz jutro uda się tam do Zakładu dra Riki-Tiku i podda się tej „operacji bezbolesnej"... Niechby tam zresztą i bolesnej", byle tylko doprowadziła do celu... Zaraz jutro — poco§ tracić czas napróżno!...

Będzie miała znowu lat ośmnaście — znikną zmarszczki, siwe włosy — co za szczęście!...

Zerwała się gorączkowo, aby natychmiast poczynić przygotowania do jutrzejszej wyprawy.

— A jeżeli ten doktór Riki-Tiku jest szarlatanem? oszustem? — odezwał się głos sceptycyzmu, ale pragnienie młodości krzyczało tak silnie, że zgłuszyło odrazu wszystkie wątpliwości.

— To palec Opatrzności!... Lat ośmnaście!... O! Feliksie!... Feliksie!...

ROZDZIAŁ II.

Dr Pelagia Wyrobkówna z bijącem sercem wysiadła z dorożki przed piętrowym budynkiem, pomalowanym na kolor pomidorowy i okolonym dość obszernym ogrodem. Raz jeszcze przeczytała napis nad bramą: „Zakład odmładzający dra Riki Tiku" — jakby chcąc się upewnić, że do brze trafiła i pociągnęła za dzwonek, który zajęczał ostro. Bramę otworzył po tyer w jakiejś osobliwej trawiasto-zielonej liberyi. Był siwy i trzymał się pochyło.

— Dlaczego on nie dał się odmłodzić? — pomyślała, nie wypowiadając jednak głośno swej myśli — zapytała:

— Czy mogę się widzieć z doktorem Riki-Tiku?

Portyer zmierzył krytycznem spojrzeniem postać przybyłej. Widocznie jednak ocenił odrazu, że materya skromnego, ciemnego kostyumu jest pierwszorzędnej jakości, a mała podróżna torebka, którą Wyrobkówna trzymała w ręku — z prawdziwej krokodylej skóry, bo ukłonił się uprzejmie i rzekł:

Proszę łaskawej pani — prosto tędy, przez ogród...

W ogrodzie, pośród drzew, snuło się kilkanaście postaci mężczyzn i kobiet w ziel nych pla zczach... Postacie te na widok wchodzącej cofnęły się trwożliwie, ale przelotne spojrzenie wystarczało do skonstatowania, że nie było pomiędzy niemi ani jednego człowieka młodego...

— To zapewne pacyenci dra Riki-Tiku... Moi koledzy i koleżanki... Ale chyba jeszcze przed operacyą...

Drugi sługus w takiej samej, jak portyer, różowo-zielonej liberyi, zaprowadził Wyrobkównę do gabinetu dra Riki Tiku. W gabinecie obitym zieloną tapetą, z meblami krytymi zieloną materyą, królował w zielonych ramach wielki obraz, przedstawiający Fausta w chwili, gdy wychyla czarodziejski puhar młodości... Prócz tego wisiały na ścianach tablice z jakimiś kabalistycznymi znakami, fotografie mumii egipskich, oraz widniały napisy, opiewające: „młodość to potęga", „chciej tylko, a będziesz młodym"... „Miłość, to prawo młodości"...

Sam doktór Riki-Tiku przedstawiał się dość osobliwie... Ubrany w zwykły marynarkowy garnitur — na głowie miał wschodni turban z zielonego jedwabiu, coś niby maharadża z operetki... Wyglądał na lat mniej więcej pięćdziesiąt, a rysy jego bynajmniej nie wschodnie, z zadartym nosem i szerokiemi ustami — nosiły wyraźne ślady poszarpania przez ząb czasu...

— Dlaczego on się nie odmłodził? takby mu się to przydało — zadała sobie znowu pytanie kandydatka na lat ośmnaście i jadowity skorpion zwątpienia ukąsił ją w samo serce.

— Pani zechce usiąść - dr. Riki-Tiku wskazał uprzejmym gestem jeden z zielonych foteli — panią dziwi to zapewne, że tu wszystko tak na zielono, ale to nasza barwa sztandarowa... nasz emblemat... zielony kolor jest symbolem wiosny i nadziei... Rozumie więc pani...

— Tak... rozumiem... wyczytałam w gazecie pańskie ogłoszenie i... pragnęłabym poddać się kuracyi w Zakładzie...

— Domyślałem się tego, łaskawa pani... — uśmiechnął się lekko dr. Riki-Tiku — zgłoszenia nadpływają liczne, mamy obecnie moc pacyentów w Zakładzie...

— Nie chcę jednakowoż wyjawiać mego nazwiska...

— Jak pani sobie życzy... Dyskrecya w moim Zakładzie jest ściśle przestrzegana... Tylko jedno maleńkie zastrzeżenie: honoraryum z góry!...

— Dobrze... tylko pozwoli pan doktór wprzód jedno zapytanie: czy może pan zanotować w swej praktyce eksperymenty udałe...

Dr. Riki-Tiku rozłożył ramiona i wybałuszył oczy, markując w ten sposób zdziwienie nad treścią interpelacyi przyszłej pacyentki.

— Czy mogę zanotować?!... A to dobre... Innych eksperymentów jak udałe — wogóle nie notuję!... Steinach!... Woronow!... — to są fuszerzy — oni schwycili zaledwie cząsikę, podczas gdy moja metoda obejmuje całość!... Mogę odmładzać jak najdowolniej!... Jeśli łaskawa pani sobie życzy, może powrócić do lat niemowlęcych... To zależy tylko od numeru preparatu...

— O! nie, dziękuję... Tak daleko nie sięgają moje wymagania... Wystarczy mi lat ośmnaście...

— Ośmnaście!... doskonale!... Pani, jak widzę, ma pewne wątpliwości... No! my jesteśmy przyzwyczajeni do tego... Ale ja pani zaraz udowodnię...

Otworzył jedną z szuflad biurka i wydobył stamtąd plik fotografii.

— O! proszę popatrzyć... Wszystkie te osoby fotografowano przed operacyą odmładzającą, a następnie po operacyi...

— Aha... — uśmiechnęła się lekko dr. Pelagia — coś niby reklama „przed użyciem" i „po użyciu"...

Dr. Riki-Tiku spojrzał na nią z wyrazem bolesnej wymówki w oczach.

— Pani jeszcze nie wierzy? No to niech się pani przekona naocznie!... Panno Walentyno, proszę tutaj przyjść! — zawołał, uchylając nieco drzwi. Na to wezwanie weszła młoda kobieta, lat około dwudziestu pięciu, wysoka, tęga, świeża, różowa, z błyszczącemi zuchwale oczyma i purpurowemi wargami, zanadto grubemi i szerokiemi..

Pomimo pospolitości rysów i mało rasowej budowy, była bardzo przystojna.. Biły od niej młodość, zdrowie, temperament...

Dr. Riki Tiku wziął z pośród stosu fotografii jedną i mign ł nią przed oczyma Wyrobkówny. Zobaczyła podobiznę jakiejś staruszki chudej, zwiędłej, pomarszczonej...

— Panno Walentyno — czyja to fotografia?

— Moja!... — brzmiała odpowiedź szybka i stanowcza.

— Co takiego?! — wykrzyknęła dr. Wyrobkówna.

Dr. Riki-Tiku uśmiechnął się pobłażliwie.

— Widzi pani, panna Walentyna była dawniej moją pacyentką, a po odmłodzeniu nie chciała mnie opuścić i jest obecnie moją prawą ręką, moją asystentką... Tak wyglądała przed operacyą, a tak prezentuje się teraz. Czy pani to wystarcza?

Dr. Wyrobkówna była olśniona... Jeżeli z tej zgrzybiałej staruszki, której fotografię jej pokazywano, zrobiła się taka hoża, przystojna, kwitnąca dziewczyna, to chyba ona, Pelagia Wyrobkówna, odmłodzi się z wszelką pewnością... Wszak nie jest jeszcze ani tak stara, ani tak brzydka.. Feliks będzie ją mógł kochać!...

— Wystarcza mi najzupełniej... — wyszeptała.

— A zatem... Panno Walentyno, może pani odejść... Proszę dla pani przygotować pokój numer 935.

— Tyle państwo macie pacyentów? — zdziwiła się dr. Wyrobkówna, która w swej naiwności nie pamiętała o tem, że w niektórych zakładach numery zaczynają się liczyć dopiero od tysiącznego. W zakładzie dra Riki-Tiku liczono je już od Nr. 923.

— Kolosalną ilość!... łaskawa pani!... kolosalną ilość!... — oświadczył z emfazą właściciel zakładu — a teraz jeszcze pewne formalności... Muszę zapisać do ksiąg... A zatem nazwiska wyjawiać pani nie chce... więc pani X. - zawodu...

— Nauczycielka...

— Doskonale!... Nauczycielki, mógłbym rzec, to moja specjalność!... W Kairze odmłodziłem guwernantkę córki khedywa... A teraz... lat ile?... to bardzo ważna rubryka dla nas!... Tylko proszę o ścisłość, to konieczne ze względu na zabieg... Wprawdzie ja mam oko! o! mam, ale zawsze proszę o dokładną cyfrę... najdokładniejszą, jaka tylko być może...

Poczerwieniała lekko i zawahała się z odpowiedzią.

— No, no — zachęcał dr. Riki-Tiku — tylko śmiało, otwarcie... My tutaj nie liczymy na podlotki...

Cichutko wyrzekła liczbę lat, bardzo już zbliżoną do półwiecza... Nie przypuszczała nawet, że jej to wyznanie przyjdzie z taką trudnością.

— To znów nic tak specjalnego... My tu o wiele starszych widujemy... Czy to aby dokładne? — zmierzył niepewnem spojrzeniem postać dra Wyrobkówny.

— Ależ, panie doktorze!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

I jakoś, stosunkowo dość szczęśliwie, bo bez żadnego ważniejszego wypadku, jak naprzykład koniec świata, trzęsienie ziemi lub coś podobnego, znaleźliśmy się w przededniu Świąt Wielkanocnych, dziewiątych z rzędu od chwili wybuchu wielkiej wojny światowej.

Poraz dziewiąty zatem z rzędu w tych anormalnych stosunkach przychodzi kronikarzowi stanąć z życzeniami „Wesołego Alleluja“ przed ogółem P. T. Czytelników, ponieważ jednak w tym roku pierwszy dzień Świąt schodzi się w dziwny sposób z pierwszym kwietnia, czyli popularnie zwanym *Primaaprilisem* i kronikarz odstąpi od zwykłego szablonu i nie złoży żadnych życzeń. Ośm razy z rzędu życzył dotąd poprawy stosunków, jakie nam od chwili wybuchu wojny do dnia dzisiejszego tak dokuczają, a tymczasem, jak gdyby na złość, prawie ani jedno z jego życzeń dotąd się nie spełniło. Jak tu zresztą zabierać się do tak uroczystego aktu, do którego przystąpić się powinno przyodzianym w godowe szaty, z wesołą miną, dzierżąc w dłoni talerzyk ze święconem jajkiem!... To wszystko bywało dawniej, dziś jest zupełnie inaczej, bo godowe szaty, zdobiące niegdyś nasze postem umartwione ciała przedstawiają się daleko gorzej, niż niegdyś wielkopostna włosienica, a o sprawieniu sobie nowej jakiej „okryjbiedy“ nikt nawet nie marzy, gdyż podobny wydatek przekracza stanowczo jego zdolność finansową, o wesołą minę, wobec panujących obecnie stosunków trudno, nie łatwiej też i o jajko, za które na tydzień przed świętami płacić się musiało czterysta marek za sztukę, Zresztą dzień pierwszego kwietnia, przeznaczony od wieków na to, aby się ludzie wzajemnie zwodzili, do składania życzeń absolutnie się nie nadaje, bo mimowoli nikt w ich prawdziwość nie zechce uwierzyć, posądzając gratulanta, że sobie z niego chce zadrwić.

W niezwykły zatem sposób obchodzić będziemy tegoroczne Święta Wielkanocne,' oczywiście nie wszyscy, bo nie braknie szczęśliwców, którzy mogą sobie pozwolić na takie wydatki, jak urządzenie święconego, wymagające dziś poprostu milionowych nadzwyczajnych kredytów. Ci, którzy w karnawale nie mieli pączków i, szanując drogie obuwie, nie tańczyli, w wielkim poście zaś nie jedli śledzi, dadzą sobie spokój z raczeniem się świńskimi delikatesami, na czem ucierpi może tradycya, ale dobrze wyjdzie ich zdrowie, nie potrzebujące w tygodniu poświątecznym ratunku przy pomocy pigułek Morrisona, olejku rycynowego lub gorzkiej wody. Wielki tydzień, poprzedzający Święta Wielkanocne, przypominający dawniej piekło domowe, przeszedł też bardzo spokojnie, bez żadnych przygotowań świątecznych, nawet bez zwykłego zawieszania świeżych firanek. które dawniej stanowiło jedną z głównych czynności pana domu, wyręczającego w tem swą magni fikę. Odpadło także i trzepanie mebli, przypadające zwykle na ten tydzień, aby przypadkiem ktoś ze sąsiadów nie posądził, że „państwo przygotowują się na przyjęcie gości...“, bo ta odrobina kiełbasy czy szynki, w jaką się zaopatrzono, przeznaczoną jest dla rodziny, nie dla gości.

Głucho zatem i spokojnie w Wielki tydzień, zamiast piec, smażyć lub gotować, rodzina wybrała się „do ogonka cukrowego“, szczęśliwym bowiem trafem pozwała magistrat osłodzić sobie gorzką dolę i sprzedaje cukier i to aż po dwa kilo na „głowę“ po stosunkowo dość przystępnej cenie. Wzruszająca jest ta troskliwość magistratu o los obywateli. Z jednej strony zatwierdza coraz to wyższe cenniki rzeźników, masarzy i piekarzy, pogrążając tem w czarną rozpacz ogół Krakowian, z drugiej zaś raczy ich cukrem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie macie co jeść, niechaj wam będzie bodaj słodko!...“.

Całe szczęście, że na owo „ogonkowe“ wystawanie mieliśmy wspaniałą poprostu pogodę, prawdziwą wiosnę, jakiej dawno nie pamiętamy, choć jeśli się nie mylimy, metereologowie zapowiadali nam na koniec marca najrozmaitsze atmosferyczne paskustwa, które na szczęście, jakoś się nie spełniły. Rozjaśniły się zatem nieco oblicza, bo i to coś znaczy, jeśli się obejdzie bez palenia w piecu, i można zrzucić z siebie paltot, nadający się już najzupełniej do zbiorów muzealnych, a zarzutka, dziwnym jakimś trafem, dłużej się jakoś trzyma i jeszcze nie przedstawia się w tak opłakanym stanie, zwłaszcza, jeśli się ma zapobiegliwą małżonkę, umiejącą tanim kosztem przywrócić jej bodaj jaki taki wygląd świeżości. Żony inteligentów, zmuszone koniecznością, nauczyły się tej sztuki i w domowej kosmetyce garderobowej są nieraz prawdziwemi mistrzyniami. Ze względu na wiosnę, bardzo wczesną i jak dotąd najzupełniej prawdziwą, choć niespodzianki nie są wykluczone, zaroiły się i plantacye od spacerowiczów, którzy w żaden sposób nie potrafią sobie wytłómaczyć tego, dlaczego nasz zarząd plantacyjny czuje takie upodobanie do wycinania drzew, jeszcze zdrowych i to przeważnie w miejscach, gdzie się tego czynić nie powinno. A to przecież takie proste i takie łatwe do zrozumienia!... Rok rocznie obywatele miasta Krakowa amatorowie plantacyjnego świeżego powietrza, za które nawiasem mówiąc, dotąd żadnych osobnych opłat jeszcze się nie pobiera, narzekają na niegrzeczne zachowanie się gawronów, zastępujących u nas bardzo udatnie słowiki i inne ptaszki śpiewające. Ponieważ owe gawrony ze wszelkich rozporządzeń magistrackich nic sobie nie robią i uprzykrzają się przechadzającym nie tylko swym krzykiem, ale także i w inny, bardziej dotkliwy sposób, władze miejskie, aby temu zapobiedz, postanowiły poprostu wyciąć wszystkie drzewa na plantach, aby złe usunąć, a kasie miejskiej przysporzyć dochodów, bo o nowe jego źródła coraz trudniej, choć pan dyrektor Krzyżanowski używa różdżki czarodziejskiej, ale ta, jak się okazuje, skuteczną bywa jedynie tylko przy poszukiwaniu za wodą, a tej Bogu dzięki, gdy mamy Wisłę pod bokiem, jakoś nam nie brakuje. Nie będą miały gawrony na czem siadać, nie będą też miały skąd niepokoić przechodzących, pozatem otworzy się widok szerszy i przybędzie miastu świeżego powietrza, zdaniem bowiem uczonych zielony kolor zawiera zawsze arszenik, a liście z drzew są. jak powszechnie wiadomo zielone.

Koci karnawał się skończył choć i to nieprawda, bo obecnie i koty zerwały z dawnemi tradycyami, zaczyna się karnawał gawroni, a tego widownią bywały dawniej przedewszystkiem plantacye, skąd członkowie straży ogniowej w niegrzeczny sposób eksmitowali czułe gawronie pary, nie mające pozwolenia urzędowego na pobyt w naszem mieście. Zrażone tem niegościnnem obejściem, coraz rzadziej się teraz u nas pokazują, więcej daleko snuje się ich po chodnikach plantacyjnych, oczywiście w ludzkiej postaci, ale także przeważnie parami, samotne zaś osoby płci żeńskiej wodzą smutnie oczyma po gałęziach drzew, jak gdyby upatrywały miejsca, gdzie możnaby założyć rodzinne gniazdko. Nie trzeba być znawcą ludzi, aby orzec, że te naśladowczynie Telimeny z „Pana Tadeusza“ to stare panny, lub wdowy, które nie utraciły jeszcze nadziei, że mogą się przyczynić do wzrostu ludności kraju. Samotnie idący mężczyźni nie są tak uczuciowo nastrojeni, każdy z nich ma głowę nabitą przeważnie różnymi interesami, które nie pozwalają mu na myśli, z codziennem nic, albo niewiele wspólnego mające.

Nie brak między nimi paskarzy i lichwiarzy, tym zaś zaprzątają głowy przeważnie dolary i całe wagony artykułów pierwszej potrzeby, wywożone za granicę, jako nadmiar krajowej produkcyi, gdy natomiast na każdym kroku odczuwamy ich brak dotkliwy. Ale paskarze są zdania, że, skoro nauczyliśmy się bez czegoś obchodzić dzięki wojnie i jej następstwom, wszystko jest nadmiarem i jako takie nadaje się do wywozu, a że posiadają dziwny dar przekonywania, potrafią też uzyskać u władz centralnych najzupełniej legalne pozwolenia na wywóz. Potęguje to wprawdzie drożyznę, ale staje się także przedmiotem badań specyalnego urzędu, mającego za zadanie konstatowanie każdorazowego wzrostu cen utrzymania i obliczenia ich procentowo. Gdyby nie było paskarzy, nie byłoby drożyzny, straciłby zatem racyę bytu i ów urząd, nie można zaś pozwolić na to, aby powiększać liczbę bezrobotnych, choć i z tego cieszy się inna znowu magistratura, tem się głównie zajmująca.

Zabrał się wprawdzie, a raczej miał się zabrać do radykalnej kuracyi stosunków nadzwyczajny komisarz do zwalczania drożyzny, ale, zamiast wydrzeć pazury tej krwiożerczej bestyi, obchodzi się z nią tak delikatnie, że ona odnosi wrażenie, jakoby to były tak modne dziś w eleganckim świecie zabiegi manicurowe i uśmiechając się wdzięcznie, odzywa się do swojego prześladowcy:

– A spieszyć się pan nie potrzebuje!... Ale proszę uważać, aby mnie pan przypadkiem nie zadrasnął!

Święta, gawrony na plantacyach i drożyzna, wzmagająca się z dnia na dzień, choć dolary tracą na kursie, mimowoli przywodzi nam na myśl najważniejsze artykuły, bez których dawniej nie wyobrażaliśmy sobie stołu wielkanocnego.

Przedewszystkiem zatem jajka. Centralny urząd statystyczny w Warszawie stwierdza na podstawie wiarogodnych dat, że kur w kraju mamy dosyć, nie ulega też kwestyi, że one znoszą jaja, choć i między niemi daje się już zauważyć pewnego rodzaju ruch emancypacyjny. Jeśli zatem są kury i znoszą jaja, to pytanie gdzie się one podziewają, skoro stale ich brak i skutkiem tego dochodzą takich cen, jak czterysta marek za sztukę. Odpowiedź na to pytanie mógłby dać paskarz jajkowy. który otrzymał pozwolenie ze względu na ich nadmiar na wywiezienie wielkich zapasów za granicę. Powiedziano wprawdzie, że wywóz ten może się rozpocząć dopiero w kwietniu, aby ludność mogła się zaopatrzyć w jaja na święta, ale paskarz, mający zamówienie na kilkanaście wagonów musi zawczasu robić zapasy, zwłaszcza, że i kury, dzięki wojnie i jej następstwom, zaniedbują się w spełnianiu swych obywatelskich powinności. Nie od rzeczy też będzie zaznaczyć, że od pewnego czasu wiele bardzo z pomiędzy kur, lubiących naśladować ludzi, dotkniętych zostało manią wielkości, podobnie, jak dawne, cierpiące na obłęd religijny, polegający na tem, iż zdawało się im przez cały rok, iż znoszą pisanki wielkanocne. Obecnie kury, słysząc o tem, jak zawrotną wysokość osiągają jajka, które człowiekowi znoszą bezpłatnie, nabrały o swojem znaczeniu zbyt wielkiego wyobrażenia i zdaje się im, że są czemś więcej, niz zwykłemi kurami. Uważają się, i może mają pod tym względem racyę, za wyborną lokatę kapitału, pewniejszą, niż jakaś tam, dajmy na to „milionówka“, skoro przynoszą, a raczej znoszą kilkanaście razy w miesiącu „kupony“, płatne po czterysta marek za sztukę.

O wędlinach i pieczywie świątecznem poprostu mowy niema, na to bowiem aby się w nie zaopatrzyć, trzeba być naprawdę milionerem, nie wystarczy na ten cel sześćdziesięcioprocentowy dodatek do płacy za miesiąc marzec, jaki wypłacono urzędnikom. Zboże wprawdzie potaniało, mięso na prowincyi kosztuje prawie o połowę mniej, niżeli u nas, bo nasi panowie rzeźnicy, masarze i piekarze posiadają własny system kalkulacyi, również bardzo przekonywujący. jeśli magistrat cenniki ich stale zatwierdza. Na ogół uważają się oni za dobrodziejów ludzkości i chwalą się głośno, że wprawdzie podnoszą ceny, ale tylko wtedy, gdy dolar idzie w górę, a nigdy, gdy spada. Magistrat krakowski jest wogóle bardzo czuły na dolę tych biedaków i stara się zawsze o to, aby ich, broń Boże nie skrzywdzono.

Gdy brak stałych artykułów świątecznych, jak jaja, wędliny i pieczywo, obejdzie się i bez płynnych, które, mimo swych szalonych cen, amatorów przecież nie tracą. Młode pokolenie wychowuje się u nas przeważnie na flaszce, nic też w tem dziwnego, że i na starość czujemy do niej pewien pociąg. Gorzej wyszedł rząd na ostatniej podwyżce tytoniu, gdyż słychać wokół narzekania trafikantów, że coraz to większy zastój widoczny w ich interesie.

Nie zapowiadają się zatem Święta Wielkanocne zbyt wesoło, dałby Bóg, by były bodaj pogodne. Kronikarz, aczkolwiek na początku zastrzegał się, że życzeń nie złoży, na wszelki jednak wypadek, aby nikogo nie obrazić, przesyła wszem wobec i każdemu z osobna: „Wesołego Alleluja“, a chyba nikt nie posądzi go o to, że sobie chce zeń zadrwić, jako, iż to ma my właśnie dzień pierwszego kwietnia. Ale za kpił sobie z nas los, bodaj my sami dajmy sobie spokój i nie naciągajmy się choćby tylko w tym jedynym dniu w roku!



Ren w rękach Francyi: Urzędnik francuski Joly zamordowany w Buer.



Ren w rękach Francyi: Skrzyżowanie ulic Hochstrasse i Hagenstrasse w Buer, miejsce zamordowania przez Niemców francuskiego ppor. Colpina i urzędnika Joly'ego.

Z pobytu Marszałka Piłsudskiego we Lwowie.

Marszałek Piłsudski bawił niedawno we Lwowie, dokąd udał się z uroczystości ku czci bohaterów z pod Rokitny w Krakowie. Przy tej okazyi odwiedził Kompanię instruktorską Związku Strzeleckiego, poczem spędził kilka chwil w lokalu Związku przy ul. Zielonej l. 7. we Lwowie. Strzelcy i legioniści z entuzyazmem powitali swego wodza, wspominając dawne wspólne przeżycia.

Na pamiątkę dokonano wspólnego zdjęcia na dziedzińcu realności, w której mieści się Związek. Na illustracyi, którą zamieszczamy w niniejszym numerze, widzimy Marszałka Piłsudskiego w gronie swych ukochanych strzelców i legionistów we Lwowie.

Ren w rękach Francyi.

Po zakończeniu pierwszego okresu okupacyjnego, który wyraził się zewnętrznie w wojskowem zajęciu Zagłębia, nastąpił drugi niemniej ważny, a mianowicie odgraniczenie obszaru okupacyjnego od reszty Niemiec pasem celnym, któryby uniemożliwiając wywóz węgla i produktów do Rzeszy, pomógł Francuzom w ten sposób złamać niemiecki opór. Ponieważ Anglicy pod maską życzliwej neutralności podstawiali jednak od czasu do czasu nogę swemu sojusznikowi, a zwłaszcza gdy chodziło o zupełne zamknięcie obszaru Ruhry pod względem celnym, francuskie dowództwa zmuszone było rozszerzyć strefę okupacyjną w ten sposób, aby angielski obszar odgraniczyć od Niemiec jeszcze pasem francuskim. Wskutek tego kroku Anglicy znaleźli się w rodzaju worku, mają bowiem i przed sobą i za sobą Francuzów, nie mogą zatem okazywać niemieckiemu szmuglowi żadnej pomocy. Naturalnie niema tu mowy o rządzie angielskim, lecz o przedstawicielach wojskowości angielskiej, którzy w wykonaniu zarządzeń swego rządu mają daleko idące pełnomocnictwa, a których germanofilstwo przez długi pobyt w Nadrenii z pewnością nie zmalało.

Pamiętamy dobrze okres przedplebiscytowy na Górnym Śląsku, gdzie niektórzy przedstawiciele Anglii zachowywali się lojalnie wobec Polaków, inni zaś, a tych była większość, szykanowali nas na każdym kroku, uznając tylko prawa Niemców. Podobnie sprawa przedstawia się w angielskim obszarze akupacyjnym w Nadrenii, wykonawca bowiem rozkazów swego rządu ma szerokie pole do popisu dla swych osobistych sympatyi lub antypatyi, zwłaszcza w kraju zajętym. To było też jednym z powodów, dlaczego zajęto pas oczatający Anglików.

Po stworzeniu faktycznie zamkniętego obszaru celnego, wyłoniła się nowa kwestya: połączenie kolejowe z Francyą. Wszystkie linie prowadzące z Zagłębia do Francyi przechodziły przez terytoryum zajęte przez Anglików. Wprawdzie rząd angielski zezwolił po dość długich pertraktacyach na używanie tych linji dla przewozu wojsk francuskich, ale oświadczył równocześnie, że nie pozwoli na aresztowanie niemieckich funkcyonaryuszów na terenie przez siebie zajętym. Miano tutaj na myśli niemieckich kolejarzy, którzy na wezwanie rządu niemieckiego zaczęli uprawiać podobny sabotaż, jak w zagłębiu Ruhry, a których to oświadczenie Anglików chroniło niejako od odpowiedzialności. Nadto rząd angielski oświadczył na posiedzeniu angielskiej Izby Gmin, że zezwo-





Ren w rękach Francyi:

Francuski minister wojny Maginot podczas podróży inspekcyjnej w Zagłębiu Ruhry opuszcza w Dortmundzie w towarzystwie jen. Degoutte, Buat i Mourrier dawne koszary policyi niemieckiej.

Żołnierze francuscy przed ratuszem w Bochum czytają protestującą proklamacyę miejscowego burmistrza.



W nowej stolicy Turcyi: Kemal basza w otoczeniu sztabu wraz ze swą młodą małżonką podczas rewii wojskowej w Angorze.



Złote gody ze Sztuką: Amelia Kasprowiczowa.

lenie przewożenia wojsk francuskich przez terytoryum angielskie w Nadrenii zupełnie nie oznacza oddanie tych linii pod kontrolę Francyi, lecz, że Anglia zastrzega sobie dalszą dokładną kontrolę tych połączeń kolejowych. Znaczy to, że Francya byłaby zależna stale od dobrej woli Anglii, która pod jakimkolwiek pozorem mogłaby w każdej chwili cofnąć dane zezwolenie i postawić Francyę w położeniu bez wyjścia. Na to Francya żadną miarą zgodzić się nie mogła; okupacya bowiem zagłębia Ruhry obliczona jest na długi okres czasu i musi mieć zabezpieczone połączenie z Francyą.

Pozostawało jedynie wyjście: komunikacya Renem. Ale sabotaż niemiecki i tutaj udaremnił wykorzystanie umiędzynarodowionej na mocy traktatu wersalskiego arteryi rzecznej. Niemcy nietylko wycofali z okręgów zajętych przez Francuzów cały materyał okrętowy, ale zabrali nawet ludzi, którzy obsługiwali ruch rzeczny, do części niezajętych przez wojska okupacyjne. Galary wysyłane z zagłębia Ruhry w górę rzeki do Strassburga, tonęły po drodze, były zatrzymywane przez sabotujących pracowników niemieckich, wskutek czego wkrótce się okazało, że w praktyce wolna żegluga na Renie jest fikcyą póki część jego choćby najmniejsza jest pod kontrolą Niemiec. Wyciągnąwszy z tego konsenkwencye Francya zdecydowała się zająć wszystkie porty nadreńskie i w ten sposób zabezpieczyć sobie stałą, niezależną od niczyjego widzimisię, komunikacyę między zagłębiem, a terytoryum francuskiem. Po zajęciu portów rzecznych w Mannheim i Karlsruhe cały Ren dostał się pod kontrolę władz francuskich.

Fakt ten miał nie tylko pierwszorzędne gospodarcze znaczenie, ale jest także pod względem politycznym faktem pierwszorzędnej wagi. Cały materyał rzeczny, jak holowniki, berlinki i porty mogą teraz służyć przewożeniu węgla i innych produktów, pozatem Francya może kontrolować cały handel nadreński. Najważniejszą jednak rzeczą jest kontrola wojskowa tej ważnej baryery, chroniącej Francyę od wszelkich zakusów niemieckich na przyszłość. To też zrozumiała jest wście-



Egzotyczne małżeństwo: Orszak ślubny z okazyi małżeństwa rajaha Mandi z córką maharadży Kapurtali.

kłość niemieckiego rządu i niemieckiego nacyonalizmu.

Przejawem takiej bezsilnej wściekłości był haniebny mord w Buer, gdzie ofiarą zaciekłości pruskiej padło dwóch francuzów: oficer Colpi i szef stacyi kolejowej de M. Joly. Obydwu zastrzelono w podstępny sposób, a sprawcy zdołali ujść. Przebywający w Zagłębiu Ruhry francuski minister wojny Maginot udał się do Recklings, gdzie złożone były ciała obu zamordowanych Francuzów i udekorował je krzyżem legii honorowej. Do zgromadzonych na dziedzińcu oficerów francuskich wygłosił minister przemówienie, w którem zapewnił, że za przelaną krew spotka Niemców zasłużona kara. Jednocześnie władze francuskie poczyniły energiczne zarządzenia, celem ujęcia sprawców tego mordu i dokonały licznych aresztowań.

W nowej stolicy Turcyi.

Uchwała Zgromadzenia Narodowego w Angorze, odrzucająca układ lozański, zwróciła oczy całego świata na to miasto, obecnie stolicę, skąd wyszedł ruch odrodzenia tureckiego. Szczególnie interesujące szczegóły o Angorze podaje znany egzotyczny powieściopisarz francuski Pierre Benoit.

Wązka korona murów i wież — pisze autor — otacza wzgórze, na którem wznosi się Angora. Otoczenie to robi ogromne wrażenie, gdyż niezamącona cisza panuje zawsze wśród tych ruin. Dookoła. rozciąga się szara równina z wznoszącemi się nad nią oparami, dalej na horyzoncie widać białe szczyty gór. U stóp północnych murów istnieje nagła przepaść, rodzaj doliny Józefata, w głębi której płynie dziki Cedron-Engum. Z drugiej strony przepaści wznosi się prostopadła skała, która niegdyś służyła Tamerlanowi za obserwatoryum i za ośrodek ataku przy zdobywaniu miasta. Na pamiątkę swego zwycięstwa, Tamerlan wystawił tam pomnik, którego kopuła pod działaniem deszczu rozpadła się w ostatnich dniach. Lecz przed Mongołami wiele innych armii zdobywało tę starą fortecę. Gdybyśmy rozrzucili te mury, znaleźlibyśmy ślady dziesięciu cywilizacyi, które wycisnęły piętno na historyi Angory. Tutaj Aleksander Macedoński przyjął Paflagonów, którzy przybyli do niego z hołdem oraz deputacyę Ateńczyków, winszującą mu zwycięstwa pod Granikiem.

Tutaj też znajduje się jedyny w swoim rodzaju dokument, a mianowicie testament cesarza Augusta.

Pisząc następnie o przyszłości Angory, która nagle stała się stolicą Turcyi, p. Benoit zaznacza:

„W r. 1919 przybył do Angory, wówczas stolicy prowincyi, Kemal Mustafa, wydalony na rozkaz rządu angielskiego z Konstantynopola przez gabinet Damada Pericia. W ten sposób sami Anglicy dziwną ironią losu stali się twórcami nowego i niespodziewanego rozwoju Angory. Jako zwykła siedziba komitetu wykonawczego obrony narodowej, Angora przyjęła w swoje mury wszystkich posłów tureckich, którzy po pamiętnym zamachu stanu z dnia 16 marca 1920 r. zdołali uniknąć zesłania na Maltę. Od tej chwili Angora stała się siedzibą parlamentu tureckiego“.

Czy Angora zostanie stolicą po podpisaniu pokoju?

„Umiarkowani posłowie — pisze p. Benoit — są zwolennikami opuszczenia Angory, która otrzyma jedynie chwalebny tytuł „kolebki wolności“ lub „Męki narodowej“ lecz uważają oni, że nie można nakładać na Angorę roli, która byłaby niezgodną z elementarnemi potrzebami państwa współczesnego“.

Jeden fakt jest pewny, że kalifat utrzymany będzie w Konstantynopolu. Lecz Konstynopol nie będzie już stolicą, gdyż cudzoziemcy z łatwością mogliby wówczas ją opanować. Również miasta położone nad morzem, a narażone na bombardowanie okrętów wojennych, nie nadają się do pełnienia tej roli. Ani nawet Brussa nie odpowiada tym warunkom, gdyż leży zbyt blisko morza. Sprawę tę rozstrzygną przyszłe wybory.

Najpotężniejsza dziś partya turecka pragnie jednak utrzymania stolicy w Angorze. Jeżeli tak się stanie, to zwycięży w polityce tureckiej kierunek azyatycko-islamski.

Zwolennicy Angory myślą już dziś o zupełnem jej przekształceniu na nowożytne miasto, czego bardzo się obawia p. Benoit oczarowany egzotyczną pięknością tego starego grodu.



Pierwszy wnuk angielskiej pary królewskiej: Księżniczka Marya angielska, obecnie wicehrabina Lascelle ze swym synkiem Jerzym.



„Kawiarnia Tatrzańska“ w Zakopanem: Główna sala zakładu.

Złote gody ze sztuką.

Ulubienica sceny lwowskiej p. Amelia Kasprowiczowa obchodziła rzadką uroczystość: złote gody ze sztuką. Była to uroczystość, jakiej Lwów nie pamięta. Składano hołd znakomitej artystce, która przez 50 lat świeciła scenie polskiej i do dziś dnia jest jej filarem potężnym. Gdy jubilatka zjawiła się w akcie III Strasznego Dworu publiczność powstała z miejsc i niemilknącymi oklaskami zgotowała jej gorącą owacyę.

Gdy skończył się akt, podniosła się znowu kurtyna, a na scenie zebrał się cały zespół artystów lwowskich i liczni delegaci, z Warszawy i innych miast. Dr. Czarnowski w pięknej mowie zaznaczył niepospolite zasługi jubilatki dla sceny polskiej i złożył jej imieniem Dyrekcyi wspaniały wieniec wawrzynowy. Nastąpiły dalsze przemówienia. Kwiatów, wieńców i darów bez końca. Scena zamieniła się w żywy ogród.

Artystka wzruszona dziękowała serdecznie kolegom i publiczności za te słowa uznania i zachęty — jak to następnie odśpiewała w kupletach: Kocham Lwów bohaterski, kocham jego mieszkańców, tu się urodziłam i tu umrzeć pragnę! — Cały wieczór był jedną wielką owacyą i gorącą czcią dla jubilatki.



„Kawiarnia Tatrzańska“ w Zakopanem: Bufet.

Egzotyczne małżeństwo.

Bogactwo i przepych, z jakimi spotyka się na dworach hinduskich notablów, znane są Europejczykom tylko z opowiadań i opisów, a przedstawiają się niczem fantastyczne bajki z „Tysiąca i jednej nócy“. Maharadżowie tamtejsi i rajahowie, choć utracili polityczną samodzielność i pozostają pod zwierzchnictwem angielskiem, są przecież nieograniczonymi władcami, posiadają nieobliczalne wprost majątki, mogą też otaczać się przepychem, naprawdę wschodnim, wobec którego wszystkie europejskie pompy i parady są tylko cieniem i miniaturą.

Aby mieć wyobrażenie o tamtejszych stosunkach, trzeba być na miejscu i patrzeć na wszystko własnemi oczyma, opisy są tylko mdłem odbiciem tego, co się widziało.

Korespondenci zagranicznych pism nie mają poprostu dość słów na skreślenie swych wrażeń, jakich doznali w dniu 5 lutego b. r. i następnych z okazji zaślubin rajaha Mandi z córką maharadży Kapurtali, księżniczką Amrit Kaur.

Pan młody jest typem hinduskiego notabla, posiadającego europejskie wykształcenie, ukończył bowiem angielskie kolegium w Lahore, odznacza się zamiłowaniem do sportu, oblubienica, która dopiero przed dwoma laty powróciła z Francyi do ojczyzny, łączy w swej postaci wschodnią piękność z wdziękiem i szykiem rodowitej Paryżanki, cieszy się też ogromną sympatyą tamtejszych kół francuskich i odpłaca się im podobnem uczuciem.

Ceremonia zaślubin według staro-hinduskiego zwyczaju wobec zapalonego ognia miała w sobie coś pociągającego swą tajemniczością, a orszak ślubny rozwinął tyle wspaniałości i bogactwa, że na Europejczyka działał, jak jakieś cudowne odbicie dawno minionych czasów. W uroczystościach wzięli udział mahadżowie hinduscy i spora liczba Europejczyków, widzami były tysiące miejscowej ludności. Wieczorem w pałacu maharadży odbył się bankiet na sto pięćdziesiąt osób, najróżnorodniejsze zaś igrzyska i zabawy trwały przez trzy dni z rzędu, pociągając za sobą milionowe koszta.

Pierwszy wnuk angielskiej pary królewskiej.

W dniu 11 marca b. r. odbył się na angielskim dworze królewskim chrzest syna księżniczki Maryi, córki króla Jerzego, zaślubionej przed rokiem z wicehrabią Henrykiem Lascelle, członkiem jednego z najzamożniejszych rodów arystokratycznych Zjednoczonego Królestwa.

Młody obywatel otrzymał na chrzcie imiona: Jerzy, Henryk, Hubert, po królewskim dziadku pierwsze, po ojcu drugie, trzecie zaś dla uczczenia stryjecznego swego dziadka, po którym wicehrabia dziedziczy milionową fortunę. Wnuk pary królewskiej nie przyniósł sobie na świat żadnego tytułu, jako syn królewskiej córki, należący zatem bezpośrednio do domu panującego, otrzymał godność księcia, co mu jednak nie przeszkadza, że nieraz zachowuje się wbrew przepisom etykiety i niczem nie różni się od swych rówieśników mniej błękitnego pochodzenia.

Przyjście na świat księcia Jerzego wywołało w Anglii ogólną radość, tak w rodzinie samej, jak i w najszerszych sferach społeczeństwa angielskiego, sympatyzującego bardzo żywo z domem swych władców. Już z okazyi zaślubin księżniczki Maryi dawano temu wyraz, podkreślając z uznaniem, że nie szukała szczęścia w zagranicznych rodzinach królewskich lub cesarskich, lecz wybór jej padł na ziomka.

„Kawiarnia Tatrzańska“ w Zakopanem.

Wśród wielu rzeczy brakowało dotychczas w Zakopanem kawiarni urządzonej tak, jakby tego wymagać mogła letnia stolica Polski. Nareszcie jednak Zakopane doczekało się lokalu, który brakowi temu zaradzi w zupełności. Lokalem tym — „Kawiarnia Tatrzańska“, otwarta z końcem lutego b. r. u zbiegu ulic Krupówki i T. Kościuszki w nowym domu Kasy Zaliczkowej na pierwszem piętrze. Urządzona nadzwyczaj gustownie i elegancko, pedantycznie czysta — rzecz niebywała na gruncie zakopańskim — wyglądem swoim czyni na obecnych sympatyczne i miłe wrażenie, wskutek czego, chociaż tak niedawno otworzona, stała się już miejscem zebrań całego inteligentnego świata zakopańskiego.

Załączone illustracye przedstawiają salę główną, przeznaczoną również na dancingi i bufet.

Od Redakcyi.

„Tajemniczy Talizman“ i „Odchłań“, dwie powieści Maryi Segeny, zmuszeni jesteśmy **chwilowo przerwać z powodu ciężkiej choroby autorki.** — Ażeby jednak P. T. Czytelnikom i Czytelniczkom naszym wynagrodzić tę stratę, rozpoczynamy w dzisiejszym numerze niezmiernie interesującą powieść młodej, lecz utalentowanej autorki, p. Jadwigi Mi gowej. Fantastyczna treść utworu nie jest pozbawiona aktualności. Ludzkość od niepamiętnych marzy czasów o tem, aby rozwiązać problem Fausta— problem powrotu młodości... W obecnej dobie odmładzające eksperymenty metodą dra Steinacha budzą olbrzymie zainteresowanie...

Na tem to właśnie tle osnuła najnowszą swoją powieść utalentowana powieściopisarka i satyryczka **Jadwiga Migowa, której powieści drukowane na łamach „Nowości Illustrowanych“ spotykały się zawsze z tak wielkiem uznaniem.** To też Czytelnicy nasi z zadowoleniem przyjmą niechybnie wiadomość, że rozpoczynamy nową powieść wypróbowanego pióra autorki „Wojennego małżeństwa“ i „Panterki“.

Powieść ta p. t.

„Odmłodzenie dra Wyrobkówny“

opowiada z humorem o niezwykłych przygodach uczonej niewiasty, profesorki uniwersytetu, która powodowana spóźnioną miłością — poddała się odmładzającej operacyi...

Fabuła, przykuwająca od pierwszego rozdziału uwagę Czytelnika, tryska dowcipem i humorem, a pomimo fantastycznego założenia — odznacza się niesłychanie trafną psychologią...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.